

KAMILA GOSZCZYŃSKA

ZIMOWE KWIATY

TOM I

BIEL



KAMILA GOSZCZYŃSKA

ZIMOWE KWIATY

TOM I

BIEL

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta: Natalia Kocot – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Bartosz Letkiewicz
Projekt mapy: Karolina Wiśniewska

Copyright © Kamila Goszczyńska, wyd. ALPHECCA, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-968855-5-5

Profile autorskie w sieci:

Facebook: Kamila Goszczyńska - pisarka

Instagram: @kamilagoszczynskapisarka

WERELDA



PRZEDMOWA

Witajcie, Wędrowcze i Wędrowczyni! Wy, którzy trafiliście do Wereldy po raz pierwszy, i Wy, którzy znacie już jej historię!

Oddaję w Wasze ręce prequel, który zabierze Was do czasów tysiąc lat przed wydarzeniami przedstawionymi w trylogii Kwiat Datury. Wyobraźcie sobie krainę dopiero co opuszczoną przez bogów, którzy nakazali elfom strzec wszystkich, a zwłaszcza czuwać nad rozwijającą się rasą ludzi. Jest to świat zdominowany przez elfy, pełen magii i jednorożców. Poznacie nowych bohaterów, ale też przypomnicie sobie tych, których kojarzycie z trylogii, wszak elfy żyją wiecznie. Dowiedziecie się, jak doszło do wielkich zmian i w jakich okolicznościach zostały wypowiedziane pierwsze przepowiednie, a także gdzie zatliło się zarzewie konfliktu. Czy pamiętacie, jak pewna drużyna w *Iskrze* nocuje przy ruinach ogromnej świątyni? Zapraszam Was do Tras Uthis – świętego miejsca, gdzie wszystko się zaczęło. A może wcale nie?...

Podróżujcie roztropnie i miejcie oczy szeroko otwarte, gdyż rodzące się zło ma różne oblicza. Rzucam na Was zaklęcie ochronne, byście bezpiecznie przebyli drogę przez stronicę tej książki. Nie zapomnijcie również o ciepłym kocu, ponieważ nadchodzą mrozy, a świat wkrótce pokryje się grubą warstwą śniegu. Minie trochę czasu, nim zakwitną zimowe kwiaty...

Jest miłość i jest nienawiść.

Są ci, którzy cierpią, i ci, którzy uzdrawiają.

*W obliczu zmian nie wszyscy nadążają. I dla tych, którzy zmarudzą,
nucona jest ta pieśń.*



PROLOG



Wiatr zadął od północy, wzniesając tuman kurzu i zeschnięte liście. Zawył wściekle w kotlinie i odbił się echem od ostrych grani. Wątle roślinki mające odwagę rosnąć na tej wysokości ugięły się pod jego naporem. Po niebie sunęły ciemnoszare chmury, gnane coraz szybciej przez kolejne podmuchy. Lada chwila miał się z nich zacząć sączyć deszcz.

Jasne jak mleko turnie kontrastowały z granatowym niebem, wbijając się niczym sztylety w coraz chłodniejsze powietrze. Przy następnym zrywie wiatru z najbliższej półki skalnej posypały się kamienie. Dwaj jeźdźcy podróżujący doliną zadarli głowy, by ocenić niebezpieczeństwo. Gdy ponownie nastała cisza, obaj jak na zawołanie podnieśli kołnierze swoich wytwornych kurt i ponagliли swe konie. Szlachetne rumaki, oba kare i ubrane w zdobioną złotem uprząż, prychnęły i ruszyły żwawiej przed siebie.

Owi jeźdźcy zmierzali z ważnym poselstwem, które miało zmienić to, co wydawało się niezmiennie...

Szaruga

Wśród dźwięku szeleszczących liści dało się słyszeć dziewczęce głosy. Ich właścicielki rozprawały o czymś swobodnie, beztrąsko stawiając bose stopy na ziemi. Suche liście o barwach żółtych, brązowych i pomarańczowych tańczyły w powietrzu podzucane kolejnymi krokami. Dwie elfki zmierzające do świątyni Tras Uthis zaśmiewały się raz po raz. Po niebie biegły rozmaite chmury, z których nie wiadomo, czy można było się spodziewać deszczu, czy tylko przysłonięcia słońca. Pogoda jednak w ogóle nie zajmowała rozmawiających. Zdawały się tak zajęte sobą, że nie zauważyły sowy, która niespodziewanie przeleciała tuż nad ich głowami, jakby się czegoś lękała. Daleko jeszcze do zmierzchu, toteż widok nocnego ptaka powinien je zaniepokoić. Przechodziły właśnie koło rozłożystego dębu, gdy mocny podmuch zakręcił liśćmi i wprowadził je w wir. Jedna z elfek zatrzymała się gwałtownie jakby rażona piorunem. Zamrugnęła szybko i obróciła się w popłochu dookoła.

– Denu! Denu! – zawołała drżącym głosem. – Gdzie jesteś?

Wiatr szarpnął jej kasztanowymi kosmykami. Jasnowłosa elfka przystanęła w osłupieniu i jęła przyglądać się towarzysze.

– Liserio, tu jestem, tuż obok. Przerażasz mnie...

Zawołana jej nie słyszała. Patrzyła przed siebie tępym wzrokiem i pospiesznie wciągała powietrze. Po chwili, która wydawała się wiecznością, wiatr ustał, a z rosnącego nieopodal drzewa posypała się reszta brunatnych liści.

– Jesteś! – Liseria ocknęła się niczym ze snu.

– Cały czas tu byłam – odparła druga. – Co się stało? Znow miałaś przywidzenia?

Elfka pokiwała głową, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Widziałam okrutne rzeczy. Zarzynających się ludzi, kłęby dymu... – Zawahała się. – Śmierć.

Denu przyjrzała się jej uważnie. Jej mądre brązowe oczy zaszkliły się mimowolnie.

– Przecież... – szepnęła. – Przecież śmierci nie ma.

– Wśród elfów nie, ale ludzie umierają. To było naprawdę straszne. Nie pojmuję, dlaczego to widzę.

– Musisz porozmawiać z matką Leanną. Ona cię poprowadzi, oczyści twój umysł.

Denudata, zwana przez przyjaciółkę i kapłanki Denu, z jednej strony uważała, że matka ma o wiele więcej mądrości oraz wiedzy i rzeczywiście wskaże drogę jej przyjaciółce. Z drugiej – co musiała przyznać przed samą sobą – targały nią wątpliwości. Wszyscy żyjący w Tras Uthis oraz w świątyni polegali na wierze w piękno, czystość i prawdę. Sama bogini Artele czuwała nad elfami i dbała o ich szczęście, a w zamian one układały najpiękniejsze pieśni ku jej czci, hodowały kwiaty i darzyły się wzajemnym szacunkiem. W świątyni zaś wybrane nowicjuszkki dostępowały zaszczytu opiekowania się jednorożcami. Ten porządek jednak coraz bardziej się zaburzał, a to wskutek niepokojących wieści napływających z siedziby króla Mithiela rezydującego w Domerth oraz z powodu pojawienia się ludzi. Denu sądziła, że te z pozoru bezbronne,

nieszkodliwe istoty wprowadzają chaos i zniszczenie, i bardzo się lękała, że zjawiska te dotkną także elfy. Z początku uznawała ludzką rasę za zabawną. Jej przedstawiciele żyli krótko, intensywnie i nierozważnie. Popelniali mnóstwo błędów, często przyplacając je śmiercią. Zajmowali się swoimi sprawami, budując domy, uprawiając ziemię, hodując zwierzęta. Rozmnażali się dużo, choć nie każde dziecko dożywało ich dorosłości. Byli ciekawscy i szybko się uczyli, jednocześnie dokonując pewnych innowacji. To nawet fascynowało elfkę. Nie miała zresztą zbyt wielu okazji, by ludzi podglądać, gdyż od dziesięciu lat mieszkała w świątyni i czekała na święcenia. Wcześniej wiodła życie z rodzicami i dwoma braćmi na wzgórzu w Domerth, tak więc i tam nie poznała nikogo z tej przedziwnej rasy. W pobliżu świątyni jednak znajdowało się ludzkie miasto nazywane przez mieszkańców Antis. Denu widziała, jak siedziba ta z roku na rok rośnie i się rozwija. Tempo godne podziwu, zważywszy na długość żywota człowieka.

Jeśli chodzi o ludzi, pozostawał jeszcze jeden niepokojący aspekt – śmierć. Dotykała ona ich wszystkich, zwłaszcza osiwiałych, słabych i chorych. Przerazała ją jej nieodwracalność. W przyrodzie przychodziła jesień, a po niej zima kuła cały świat lodem, by na wiosnę obudzić go do życia. Wiosna była zresztą świętem elfów. Tras Uthis nazywano Miastem Wiosny nie bez powodu. Sprawili to nie tylko wspaniała, lekka architektura i nieśmiertelność mieszkańców, ale również – a może przede wszystkim – uwielbienie dla bogini młodości. Miasto bowiem dosłownie kwitło na wiosnę. Z każdej balustrady zwieszały się rośliny, na ulicach pachniało kwieciami, a od samych elfów biła jasność. Jakże mocno kontrastowało ono z sąsiadującym Antis. Umieranie, pochówki i choroby, karczmy pełne pijanych, głośnych biesiadników, wszelakie uciechy mieszkające się z żalem i cierpieniem – to były zjawiska

zupełnie obce dla Denu i jej towarzyszek. A jednak dzisiaj Liseria śniła znów na jawie i tym razem właśnie o tej rasie. Co prawda bogowie zobowiązali elfy do trzymania pieczy nad ludźmi, lecz nie zostawili żadnych wskazówek. Denu była rada, że nie jest monarchią i nie musi podejmować kluczowych decyzji, gdyż zupełnie nie wiedziałaby, co czynić. Dlaczego zatem elfkę nawiedzają takie sny? Dlaczego widzi tak groźne sprawy? Dlaczego to się w ogóle jej przytrafia?

Denu kochała ją jak siostrę, której nigdy nie miała. Poznały się pierwszego dnia po przyjeździe Denu do świątyni. Liseria była wtedy tuż przed święceniem i wkrótce otrzymała jednorożca pod opiekę. Nowe obowiązki nie rozdzieliły jednak przyjaciółek, które korzystały z każdej okazji, by móc pogawędzić, a nawet poplotkować. Dziś bardzo współczuła towarzysze tak okropnych wizji i pragnęła ją wesprzeć.

Rozejrzała się dookoła. Zapadał zmierzch. Ogołocony z liści dąb, przy którym przystanęły, rzucał nieprzyjemny cień na poszarzałą ziemię. Gdzieś w oddali odezwała się sowa. Liseria była blada albo tak się wydało jej przyjaciółce w słabnącym świetle słonecznym.

– Chodź, podaj mi ramię – powiedziała. – Zaprowadzę cię do matki.

– Oj – jęknęła Liseria. – Nie wiem, czy chcę się tam udać. Może po prostu się położyć w swojej izbie. I muszę jeszcze zajrzeć do Ahana.

Denu popatrzyła na nią ze zdziwieniem, więc przyjaciółka westchnęła i wyjaśniła:

– Ostatnio Leanna wypytywała mnie kilka razy o szczegóły i nawet notowała. Poczułam się jak obiekt doświadczalny i mam wrażenie, że ona też nie rozumie, co się ze mną dzieje. Jeszcze gotowa zwołać całą Radę.

– Może tego wymaga sytuacja?

Liseria zmarszczyła czoło, po czym machnęła od niechcenia ręką, jednocześnie się prostując.

– Wymaga to Ahan swojej wiązki siana na kolację. Chodźmy czym prędzej.

Chwyciła towarzyszkę za rękę i dziarskim krokiem ruszyła na przód. Denu nie chciała się z nią spierać, toteż pozwoliła się poprowadzić do bramy świątynnej. Szły teraz w milczeniu, obserwując, jak z mijanych drzew opadają ostatnie zasuszone liście. Na miejscu dotarły już niemal po ciemku, a oprócz ciemności otoczył je jesienny chłód.



Wiatr wściekle trzasnął okiennicą, a zaraz po tym rozpętała się burza. Błysnęło i niemal natychmiast zagrzmiało. Deszcz spływał strumieniami po szybie, a wicher wyginał gałęzie starych drzew. Widok ten nie wzruszył zupełnie elfki stojącej naprzeciwko i pograżonej w myślach. Zdawała się w ogóle nie zauważyć kolejnego błysku. W słabym świetle kominka i świec wepchniętych w uchwyty na ścianach prezentowała się jak zjawą nie z tego świata. Jej seledynowa szata przetykana złotą nicią mieniła się niczym klejnoty. Jasne włosy okalały zasłonięte jedwabnym szalem ramiona, a splecione na podołku dłonie lekko drżały. Leanna była matką świątyni prawie od początku jej istnienia. Pierwszą została Baelis, lecz sprawowała pieczę nad tą instytucją ledwie przez półtora roku, aż zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Co prawda znaleziono jej ciało kilkanaście dni później i wiele wskazywało na to, że zaatakował ją nożozwierz, lecz byli tacy, którzy kwestionowali, jakoby to zwierzę przyczyniło się do śmierci matki – raczej

jedynie posiliło się truchłem. Nikt nigdy tej zagadki nie rozwikłał, a na matkę wybrano Leannę, jedyną córkę wysmienitego wojownika Rethora, skądinąd kuzyna króla Mithiela. Nadawała się do tej funkcji jak nikt – była sumienna, opanowana, władcza, a jednak sprawiała wrażenie kruchej i bezbronnej. Ludzie rezydujący w pobliżu Tras Uthis traktowali ją jak uosobienie samej Artele, co ją w sumie lekko bawiło. Nie znała próżności, ale to porównanie sprawiało jej przyjemność. W zasadzie można powiedzieć, że nawet lubiła ludzi. Wydawali się interesujący, choć nigdy sama nie chodziła do Antis i z nimi nie rozmawiała. Zdarzało się, że prosili elfy o pomoc przy budowie czy uprawie ziemi, lecz chodziło im głównie o porady, a tych udzielały nawet nie kapłanki, tylko mieszkańcy miasteczka przynależącego do świątyni. Wszyscy tu żyli poniekąd w symbiozie, wspierając się nawzajem. Elfy, które obrały sobie siedzibę obok Tras Uthis, zbierały siano, uprawiały zboże, owoce i warzywa oraz trudniły się prostymi pracami na rzecz świętego miejsca. Ponieważ w samej świątyni żyły jednorożce, ich dobrostan leżał wszystkim najbardziej na sercu. Elfy też zaopatrywały mieszkanki przybytku w jedzenie i najpotrzebniejsze przybory. W zamian mogły o każdej porze korzystać z sali modlitewnej oraz uczestniczyć w niektórych obrzędach.

W tej chwili odbywały się wieczorne modły, ale zagłuszała je burza. Gdyby nie pioruny, Leanna słyszałaby pieśni nucone przez cztery najwyższe kapłanki. Nie pieśni jednak zaprzętały jej myśli. Czekwała na Liserię, którą nie bez powodu wezwała podczas modlitwy. Chciała podzielić się z nią pewnymi wnioskami, lecz tylko z nią. Choć równocześnie czuła, iż nie wszystko może jej rzec.

– Matko. – Liseria dygnęła, stanąwszy w drzwiach. – Wzywałam mnie.

Na dźwięk jej głosu Leanna oderwała wzrok od okna i przeniosła go na gościa.

– Pragnęłam pomówić z tobą na osobności – odezwała się. – Zamknij, proszę, drzwi.

Młodsza z elfek spełniła prośbę i usiadła na wskazanym krześle. Przez chwilę obie milczały.

– Jak się miewa Ahan? – zapytała niespodziewanie Leanna.

Liseria obawiała się tej rozmowy, jak zresztą ostatnio każdej, odkąd zaczęły ją nawiedzać koszmary. Nie przypuszczała jednak, że matka będzie ją wypytywać o jednorożca. Przemknęło jej nawet przez głowę, że z powodu zwidów Leanna odbierze jej zwierzę. Przetłknęła głośno ślinę i odparła:

– Wyśmienicie, matko. Przywdział już zimową sierść.

Przełożona uśmiechnęła się pod nosem. W głębi serca darzyła Liserię dużą sympatią i podziwiała jej bystry umysł. Młoda elfka zawsze wiedziała, jak odpowiedzieć, by nie urazić rozmówcy, a jednocześnie zdradzić tylko tyle, ile potrzeba.

– Znów coś widziałaś?

Liseria pokiwała głową.

– Opowiedz – nakazała przełożona.

Tego kapłanka robić nie chciała, i to z dwóch powodów. Po pierwsze jej wizje stawały się coraz wyrazistsze, ale też coraz brutalniejsze, a po drugie dzielenie się nimi z kimkolwiek groziło utratą święceń. Tak przynajmniej uważała. Nigdy dotąd bowiem żadna nowicjuszka czy kapłanka nie doświadczyła takiego zjawiska. Musiała jednak przyznać przed sobą, iż perspektywa podzielenia się z kimś tymi koszmarami jawiła się jako przyczynek do ulgi. Nie rozumiała, dlaczego ją to spotyka i skąd się bierze w jej myślach tyle zła, bo najczęściej były to widzenia przepełnione grozą i pożogą. Wzięła więc głęboki oddech i zaczęła:

– Widziałam miasto, wielkie i wytworne. Ludzkie. Otoczone było murem, który wyglądał, jakby wyszedł spod elfich dłoni. Miasto z wieżami i urokliwymi kwiatami, ze szczęśliwymi dziećmi i z nieza-troskanymi dorosłymi. Widziałam, jak otacza je nieznana mi armia, jak zasypuje je setkami strzał, jak zaczynają płonąć domy, jak ludzie żywcem się palą. Zobaczyłam kłęby dymu, usłyszałam szczęk stali i...

Wspomnienie snu wywołało dreszcze. Przerwała na moment, by się opanować, i dodała:

– Potem ukazały mi się takie pojedyncze obrazy, twarze mar-twych ludzi, mężczyzn, kobiet, dzieci. I elfów.

Usłyszawszy ostatnie słowo, Leanna gwałtownie się poruszyła. Chwilę nad czymś myślała.

– Elfów... – powtórzyła. – To chyba coś nowego. Do tej pory widziałaś ludzi.

– To prawda, matko. Nie znam przyczyny.

Leanna wyciągnęła przed siebie szczupłe palce i dotknęła roz-palonego policzka rozmówczyni. Chciała ją pocieszyć, choć prze-myślenia nie pozwalały jej znaleźć słów otuchy.

– Nie lękaj się – rzekła najłagodniej, jak potrafiła. – Może jed-nak to nie są koszmary, może to nie projekcja twych lęków, lecz próba przemówienia przez ciebie.

– Ale kto? Kto miałby przeze mnie przemawiać? – Liseria była bliska płaczu.

– Muszę zwołać Radę. – Wypowiedź matki zbiegła się z ledwo słyszalnym już z oddali grzmotem.

– Matko, błagam, nie czyn tego! Wyrzucą mnie stąd!

Starsza elfka spojrzała pytająco na Liserię, która aż zerwała się z krzesła.

– Tak – odezwała się ponownie młoda kapłanka z rezygnacją w głosie. – To też widziałam.

– Pamiętaj, że nie każda zmiana musi oznaczać coś złego.

– Ależ matko! Będzie się działo wiele złego. Proszę, poddaj mnie testom, jeśli musisz, ale nie zbieraj nade mną Rady. Nie chcę wyjeżdżać, nie jestem gotowa. Tak wielu spraw jeszcze nie pojmuję.

Po jej policzkach płynęły łzy. Czuła, jakby stała się niedawną ulewą. Słowa same układały się jej w ustach i wylewały z niej niczym strumień. Jednocześnie wciąż drżała w środku na myśl, że którakolwiek z jej wizji mogłaby się ziścić. W dodatku za każdym razem, gdy myślała o Radzie, docierało do niej przekonanie, że zostanie zmuszona do opuszczenia świątyni. Ostatnio tak dużo się działo w jej życiu, że nie nadążała z układaniem tego w głowie. Wizje przychodziły coraz częściej i rzeczywiście przestały dotyczyć jedynie ludzi. Zastanawiała się, czy nie zwariowała. Słyszała, że ludziom to się czasem zdarza, ale nikt dotąd nie wysnuł wobec niej takiego podejrzenia.

– Dobrze – szepnęła Leanna, którą to błaganie wyprowadziło z równowagi. – Pomogę ci zrozumieć, ale już nie szlochaj. Pójdziemy jutro o świcie na modły do Artele, może ona wskaże nam drogę. Ale muszę być z tobą szczerą. Jeśli do przesilenia nic się nie wyjaśni, będę zmuszona wezwać Radę.

Przez umysł Liserii przebiegło kilka scen. Oniemiała usiadła z powrotem. Matka zauważyła jej stan i spojrzała w czerwone od płaczu oczy.

– Co? Co tym razem?

Młoda kapłanka zamrugwała kilkakrotnie, jakby wracając myślami do izby, i odparła z lekkim uśmiechem:

– Wyjaśni się.

Kiedy Liseria opuściła komnatę, Leanna ciężko opadła na swe krzesło. Przypuszczenia, choć szalone, nabierały kształtów. Jej kapłanka była wyjątkowa i wkrótce będzie musiała tego dowieść, lecz

matkę przełożoną frasowało coś innego. Jeżeli miała rację i te wizje dotyczyły przyszłości, ludzie byli zagrożeni, a wraz z nimi być może inne rasy. Czy ośmieliła się domniemywać, iż przez młodą elfkę przemawiają sami bogowie? Zapatrzyła się w płomienie bez-trosko tańczące w kominku.

Tymczasem Liseria gnała pustym korytarzem ile sił w nogach, by spotkać przyjaciółkę, jeszcze zanim ta uda się na spoczynek. Czuła, że koniecznie musi się z nią podzielić wizją, która ją nawiedziła u matki. Kiedy dopadła do drzwi jej komnaty, zastukała i wparowała do środka, nie czekając na zaproszenie. Denudata leżała już na posłaniu i pochrapywała.

– Denu! Denu! Obudź się. Jak ty możesz spać w takim momencie?

Wzywana otworzyła oczy i jęknęła:

– Mogę, gdyż jest noc, bałwanico. I o czym ty w ogóle mówisz? W jakim momencie?

– Oj, wstawaj. – Liseria nie kryła ekscytacji. – Będziemy mieć niezwykłego gościa.



Nowicjuszki Tras Uthis głowiły się od samego przyjazdu, co było pierwsze wśród borów na południu Wereldy – świątynia czy jednorożce. Jedno i drugie tak mocno wrosło w krajobraz, że nikogo nie dziwiły już po latach ani ogromna, finezyjna budowla w sercu lasu, ani niezwykle zwierzęta. Elfy wierzyły, że to bogowie, odcho-dząc z Wereldy i przekazując ją elfom, zostawiły jednorożce, by te codziennie przypominały jej mieszkańcom o obecności bóstw. Uważały za oczywiste, że bogowie właśnie im powierzyli opiekę nad nimi. Jedna teoria głosiła zatem, że świątynię wzniesiono na

terenie najliczniejszego występowania tych stworzeń, druga zaś – że sprowadzono je z obszaru całej krainy tu, do miejsca czczenia najważniejszej dla elfów bogini. Kiedy nowicjuszki stawaly się kapłankami, dowiadywały się – choć zachowało się niewiele ksiąg na ten temat – że świątynia stanęła w punkcie niezwykłym, obdarzonym magią i naznaczonym bytnością bogów, a nade wszystko uwielbianym przez jednorożce, które od momentu opuszczenia Wereldy przez Artele i jej rodzeństwo ukochały je miłością bezgraniczną. Kapłanki jednak miały na tyle dużo zajęć, że wkrótce porzuciły wszelkie dociekania na rzecz dbania o dobrostan swoich podopiecznych.

Inaczej się sprawa miała z pozostałymi mieszkańcami krainy. Dla niektórych bowiem spora odległość przybytku od siedziby królestwa w Domerth stanowiła wyraz nonsensu, a nawet braku rozsądku. Do tego bliskość rodzącego się ludzkiego państwa potęgowała wątpliwości, czy aby najistotniejsze dla elfów zwierzęta oraz najznamienitsza świątynia rzeczywiście powinny znajdować się tak daleko. Król Mithiel zawsze odpowiadał, że liczy się element pielgrzymowania i poszukiwania. Utrzymywał on, że każdy elf winien choć raz przemierzyć Wereldę, by poznać ziemie powierzone jego rasie we władanie, a także że życie każdego z nich jest wystarczająco długie, by nie zbrakło im czasu, jeśli się w taką podróż wybiorą. Mawiał, iż ważna jest droga, a nie cel.

Co jednak znaczące, rzadko który pielgrzym dostępował za szczytu spotkania jednorożca. Pasły się one na strzeżonych łąkach, z dala od ludzkich czy jakichkolwiek innych oczu. Tylko ich opiekunki, czyste i nieznające mężczyzny, mogły z nimi obcować. Tylko im pozwalały się do siebie zbliżyć, czesać grzywy lub czyścić kopyta. Choć podobne do koni, miały w sobie zaiste pierwiastek boskości. Zamiast kłusować, kroczyły, z oczu ich zaś biły nieprzebrana

mądrość i dobro. Cechowała je niezawodna pamięć zarówno do obrazów i twarzy, jak i do dźwięków czy zapachów. Denu czasem zakradała się na łąkę i obserwowała z ukrycia stworzenia. Domyślała się, że musiały wiedzieć o jej obecności, lecz z jakiejś przychyny pozwalały na ten występki. Leżąc na trawie, zastanawiała się, kto kogo potrzebuje bardziej – czy bez elfów gatunek jednorożców rzeczywiście by nie przetrwał? Czy to elfy pragnęły komunikacji z bogami tak desperacko, że łąpały się każdego sposobu, by być bliżej nich? Czyż odejście bogów z Wereldy nie było policzkiem wymierzonym elfom? Czy elficki król nie poczuł się aby porzuconym dzieckiem? Denu pamiętała z dzieciństwa rozmowy ojca z bratem właśnie o tym, że Mithiel nie postrzega opuszczenia Wereldy przez bogów jako znaku gotowości władania nią, lecz raczej traktuje ten fakt jako karę za przewinienie, którego nie znajduje. Denu się wydawało, że król i elfy z Domerth mają do bogów żal, a jednocześnie wciąż rosnące wymagania. Tu, z dala od stolicy, zaczynała lepiej rozumieć słowa ojca i krytyczniej patrzeć na władcę. Radowało ją, że może się wszystkiemu przypatrywać z perspektywy.

Kiedy dziesięć lat temu przyjęto ją w poczet nowicjuszek, targły nią sprzeczne emocje. Czuła się zbyt młoda, by się wyprowadzać z domu rodzinnego, zbyt szybko została zmuszona do pożegnania przyjaciół i tego, co znała. Teraz jednak myślała o tym jako o szansie na zupełnie inne życie. Kochała i podziwiała jednorożce, toteż nie przeszkadzało jej zajmowanie się nimi, nawet jeżeli miałyby się troszczyć o nie do końca swoich dni – który raczej wątpliwe, żeby kiedykolwiek nadszedł. Jawiło się przed nią piękne, długie życie w towarzystwie majestatycznych istot, z nowymi przyjaciółkami u boku, w świątyni będącej symbolem wszystkiego, co w elfach najlepsze.

Tego poranka siedziała w mokrej, pożółkłej trawie, czekając na wschód słońca nad łąkami, po których przechadzały się jednorożce. Po nocnej burzy powietrze pachniało wilgocią. Przybyła tu niedawno, bo i tak nie mogła spać po opowieściach Liserii. Przyjaciółka miała kolejną wizję, którą pragnęła objaśnić, ale Denu zdawała się ona jedynie zlepkiem niepowiązanych ze sobą scen i prawdę mówiąc, niewiele zrozumiała ze słów Liserii. No, może poza tym, że według niej potrafi przewidzieć nadchodzące wydarzenia i mogą się spodziewać bardzo znaczącego gościa. O ile Denu uwielbiała rozmawiać z przyjaciółką, o tyle te obrazy niejednokrotnie ją przerażały, więc kiedy w całym chaosie dowiedziała się, że przybędzie ktoś ogromnie ważny, kto zmieni bieg historii, odczuła raczej lęk niż szczęście. Zresztą nie chciała zmieniać biegu historii. Niczego nie chciała zmieniać. Za miesiąc czekały ją święcenia i wybór jednorożca, a zatem zwieńczenie jej prawie dziesięcioletniego nowicjatu. Pragnęła zacząć ten nowy rozdział należycie i się do niego bezbłędnie przygotować.

Tymczasem Liseria ostatnio nie była sobą i mąciła jej spokój – dosłownie i w przenośni. Przykro jej się zrobiło, że tak nieprzychylnie myśli o bliskiej osobie, która przecież sama zмага się z wielkimi wyzwaniami. Zganiła się za to w duchu.

Naraz zauważyła poruszenie wśród pasących się jednorożców. Wszystkie jak na sygnał uniosły głowy i skierowały je ku drodze wijącej się za pasmem lasu. Denu wytężyła zmysły. Usłyszała w oddali tętent końskich kopyt i głosy elfów. Nim zobaczyła grupę jeźdźców, już wiedziała, że jechali w pośpiechu. Kilka jednorożców zafurczało, inne z niepokojem napięły mięśnie szyj. Za drzewami wschodziło blade słońce, rozpraszając cienką smugę mgły sunącej nad ziemią. Rogi zwierząt niczym wyciągnięte do walki miecze przecinały mleczne powietrze. Denu to porównanie aż zmroziło.

Jednocześnie uświadomiła sobie, że musi się stawić na porannej modlitwie, toteż wstała ostrożnie i ruszyła w stronę świątyni. Stworzenia były zbyt zaafektowane przybyszami, by zwracać na nią uwagę. Biegąc ścieżką, Denu myślała już tylko o jednym – Liseria naprawdę widziała przyszłość. A przynajmniej jej zarys.



– Cholerna pogoda – syknął pod nosem jadący na przedzie ciemnowłosa elf.

Wilgotne od mgły kosmyki nieelegancko przyklepiły mu się do skórzanej kurty na plecach. Rysy twarzy, ostre i surowe, próbował zmiękczyć uśmiechem, który zamajaczył na jego twarzy, gdy ujrzał bramę Miasta Wiosny. *Wreszcie* – pomyślał. Uniósł rękę, by dać znać towarzyszom podróży, że muszą przejechać ku świątyni. Siedmiu konnych odzianych w bogate szaty na równie kosztownie ubranych rumakach przekroczyło bramę. Nikt nie śmiał ich zatrzymywać, gdyż na pierwszy rzut oka wiadomo było, skąd przybywają. Pomimo pośpiechu goście mieli czas, by się ukradkiem rozejrzeć po mieście. Siedziba elfów dopiero budziła się do życia. W powietrzu czuć było zapach dymu z kuchni, dało się też słyszeć krzątanie elfek i diatwy. Mieszkańcy karmili konie, otwierali okiennice, prowadzili rozmowy przyciszonymi głosami. Na wszystkich domach po obu stronach ulicy widniały zawieszone gałązki lub rysunki przedstawiające owoce świdośliwy. Najprawdopodobniej dlatego ludzie z okolicy wierzyli, iż roślina ta zapewni długie życie. Prawda była zaś taka, że smak świdośliwek szczególnie przypadł do gustu elfom i rzeczywiście niemal w każdym ogrodzie można było znaleźć takie drzewko. Wynikało to jednak bardziej z upodobania do smaku aniżeli z magicznych właściwości.

Przybyli omietli wzrokiem jasne fasady domów połyskujące w świetle wschodzącego słońca i skierowali się wybrukowanym traktem ku świątyni. Ta prezentowała się już z daleka nader imponująco. Goście co prawda niejedno widzieli, lecz Tras Uthis nadal robiło na nich wrażenie. Może nie takie jak na pobratymcach, ale wciąż jakieś. Front budowli wykonano w drewnie hebanowym sprowadzonym z południowych krajów. Płaskorzeźba przedstawiała dębującego jednoroźca, który otwierał złotymi kopytami bogato zdobione wrota. Te zaś zostały usiane wszelkiego kształtu liśćmi oraz pomalowanymi na niebiesko – a był to jedyny żywy kolor w tej scenie – mutha'rethis, świętymi kwiatami porastającymi miejsca dotknięte prastarą magią. Patrząc na ten rysunek, rzekłbyś, że za drzwiami z pewnością rosną prawdziwe kwiatki symbolizujące magię i bogów jednocześnie. Zresztą choć w świątyni nie mieszkał żaden mag, dało się wyczuć w niej czary. Miejsce to musiało zostać naznaczone przez bogów i nie bez powodu czuwała nad nim sama Artele. W drżącym powietrzu niemal tańczyły magiskry, napełniając wnętrze dawnymi zaklęciami i przysięgami. Nic dziwnego, że jednoroźce czuły się tam doskonale, a i każdy elf dostępujący szczytu przebywania tu doznawał swego rodzaju oczyszczenia czy nawet uniesienia.

Przyjezdni jednak, po krótkiej chwili zaciekawienia, zdawali się zobojętnieć na piękno Tras Uthis. Kiedy brama świątynna się otwarła, wjechali na dziedziniec i rozejrzeli się po ścianach. Mury ozdobiono scenami z życia Artele: polowaniami, biesiadami, uprawianiem miłości czy snem. Mimo że wykute w kamieniu, wyglądały jak żywe. Jakże wprawne dłuto musiało tego dokonać! Istniały legendy mówiące o tym, iż sama bogini nadzorowała prace nad wznoszeniem przybytku, a złośliwe krasnoludy wtrącały, że świątynia tak naprawdę nigdy nie została ukończona z uwagi na znikomą talent budowniczych i artystów.

Sam dziedziniec wyłożony brukiem sprawiał wrażenie wielkiej komnaty. Zadaszenie z jakby płóciennej membrany przepuszczało światło, ale nie deszcz. Dźwięk końskich kopyt rozszedł się po placu, lecz ten pozostał pusty, jeśli nie liczyć przybyłych. Elfy popatrzyły po sobie i zgodnie skierowały wzrok na czarnowłosego dowódcę. Na jego twarzy nie było śladu po niedawnym uśmiechu. Siedział na koniu, próbując dostrzec kogokolwiek, kto ich powita i wskaże drogę. Rumak parskał raz po raz i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Spokój! – skarcił elf siwka oschłym tonem, a jego głos odbił się echem od ścian dookoła.

– To tutaj kluczowe słowo – odezwała się nagle Leanna wychodząca z jednego z bocznych pomieszczeń wraz z dwoma kapłankami.

Wreszcie – po raz wtóry tego dnia pomyślał ciemnowłosey. Zsiadł z konia i nakazał reszcie zrobić to samo, po czym uklonił się nieznacznie.

– Matko Leanno, bądź pozdrowiona – rzekł.

– I wy bądźcie – odparła pospiesznie, obdarzając go przenikliwym spojrzeniem.

Powód ich wizyty pozostawał dla niej jedynie w sferze domysłów, ale biorąc pod uwagę ostatnie widzenia Liserii oraz ogólne przeczucie, które nie opuszczało jej od jakiegoś czasu, bardzo pragnęła jak najszybciej odprawić gości. Mężczyźni na ogół mieli wstęp jedynie do tak zwanych sal wspólnych, w których można było się modlić, a także podejmować przybyszów. Czasem przyjeżdżały do kapłanek rodziny albo przyjaciele i tam właśnie mieli możliwość swobodnych rozmów. Istniało tu także patio, na którym w ładną pogodę ustawiano ławki i odpoczywano z gośćmi, jednocześnie podziwiając architekturę.

Większość budynku jednak była niedostępna dla osób postronnych. Wzięło się to ze względów nie tyle boskich, ile praktycznych. Same jednorożce należały do dość płochliwych zwierząt, więc zbyt duża liczba odwiedzających stanowiłaby natręctwo, a nawet męczarnię dla tych stworzeń. Poza tym choć zarówno nowicjuszeki, jak i kapłanki miały prawo opuszczać mury świątynne, postanowiono nie kusić losu. Leanna była przekonana, że jeśli któraś bardzo zechce, z pewnością w oparach dyskrekcji uczyni to, czego zapragnie, lecz oficjalnie do jednorożców miały dostęp wyłącznie dziewice, toteż nie wpuszczano obcych, a zwłaszcza mężczyzn, na prywatne pokoje. Elfki miały dzięki temu zdecydowanie mniej okazji do zapoznawania innych, a już szczególnie do dzielenia z kimś chwil intymnych. Co ciekawe, ponieważ elfki zachodziły w ciążę tylko wtedy, gdy wypowiadały takie życzenie, a zatem inaczej niż rasa ludzka, w całej historii istnienia Tras Uthis urodziło się jedno dziecko, podobno półelfiatko... Czy ta znikoma liczba była spowodowana sposobem funkcjonowania elfiego organizmu, czy też wzmożoną czujnością matki przełożonej – nie wiadomo. Ważne natomiast, że i tego poranka Leanna zamierzała zabrać przybyszów do wspólnej sali gościnnej, gdzie, jak miano w zwyczaju, pragnęła ich poczęstować obiadem, a w razie konieczności, której się obawiała – również zaoferować nocleg. Pokonali oni bowiem długą drogę i z pewnością czuli się znużeni. A w głębi duszy Leanna nie wiedziała, czy brak jakiegokolwiek mimiki u dowódcy spowodowany był jego charakterem, zmęczeniem czy nastrojem. Przyglądała mu się uważnie przez dłuższą chwilę, po czym poprosiła, by zostawili konie w wyznaczonym miejscu na dziedzińcu, obiecała odprowadzenie ich na pastwisko, a następnie zaprosiła gości do środka.

Szli szerokim korytarzem, a odgłosy ich ciężkich wojskowych butów niosły się hen za i przed nimi. Ściany pomalowane

z rozmachem prezentowały wszelką zwierzynę występującą w tujejszych lasach, poczynawszy od mrówek, poprzez wiewiórki czy borsuki, a skończywszy na niedźwiedziach, nożozwierzach i łosiach. Dowodzący elf, patrząc na obrazy jeleni, uświadomił sobie, jak dawno nie korzystał z przyjemności polowania. Podążał szybkim krokiem za matką, wyznaczając tym samym towarzyszący tempo marszu. Szli w pewnej odległości za nimi, więc nie dosłyszeli, gdy rzekł do Leanny:

– Potrzebuję pomówić z matką także na osobności.

Zacisnęła pięści, aż zbieleły, ale kiwnęła głową. Elf wydał jej się w tej chwili nieustępliwy. Miała wrażenie, że nie daje jej prawa do odmowy, i trochę traciła grunt pod nogami. Co prawda to ona rządziła Tras Uthis, ale to król sprawował władzę absolutną, a oto miała przy sobie jego wysłanników.

Po kwadransie dotarli do sali służącej za jadalnię. Koło długiego stołu uwijało się kilka elfek sprzątających pospiesznie po wspólnym śniadaniu. Jedna z nich, przechodząc obok żołnierza, potknęła się i upuściłaby glinianą miszkę, gdyby ten jej w porę nie złapał. Obdarował ją spojrzeniem, po którym nowicjuszka spąsowiła i tylko w milczeniu dygnęła. Leanna niemal usłyszała myśli wojskowego. Uniosła wyżej podbródek, co ułatwiło przyjęcie władczej pozycji, i zarządziła, by podano panom posiłek. Na stół niemal natychmiast wjechały mleko w dzbanach, jajecznica w trzech misach, kiełbasa na ciepło, świeżo ubijane masło oraz cztery bochenki chleba z ciemnej mąki produkowanej przez młyn w Antis.

Goście zabrali się do jedzenia, a Leanna usiadła u szczytu stołu, oparła brodę na dłoniach i przyglądała im się w milczeniu. W końcu dowódca się odezwał:

– Niewiele mówisz, matko.

– Zastanawiam się. Jeszcze przyjdzie czas na rozmowy.

– Co byś chciała wiedzieć?

Lekko się uśmiechnęła. Elf prowadził grę słów i nie do końca jej się to podobało. Nie lubiła zagmatwanych, niejednoznacznych osób. Lata życia blisko jednorożców nauczyły ją odróżniać dobro od zła, a jednak teraz nie mogła się oprzeć wrażeniu, że się gubi i nie potrafi jasno określić jego intencji.

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego król wysłał swoich żołnierzy do świątyni. Pragniecie się pomodlić?

Ciemnowłosa pokiwał głową.

– Coś w ten deseń – odparł.

Matka przełożona była trudniejszym przeciwnikiem, niż się spodziewał. Miała przenikliwy umysł. Potrafiła spojrzeć poza obecną sytuację i prędko skonkludował, że niełatwo będzie mu wypełnić tę misję. Przebywał u boku Mithiela wystarczająco długo, by wiedzieć, że polityka nie zawsze odnosi pożądane rezultaty i że w niektórych sprawach trzeba się odstąpić, by zadać cios. Cały czas musiał też mieć w pamięci zadanie powierzone mu przez władcę, a w tej kwestii nietrudno było zbłądzić.

– Nie masz czego się lękać – podjął, a jego głos złagodniał. – Nie przedstawiłem się, a od tego winienem zacząć. Zwę się Muzduh, na dworze Domerth pełnię funkcję jednego z dowódców.

Kapłanka pokiwała głową w zadumie, po czym odparła:

– A po cóż królowi armia oraz dowódcy? Z kim pragnie on walczyć? Z krasnoludami zakopanymi głęboko pod ziemią czy może ludźmi, których to rasa dopiero uczy się tu żyć?

– Pani, są jeszcze inne zagrożenia mogące dotknąć Wereldę albo nas samych.

– Ach tak... O co więc król chce się modlić? O pokój czy szansę sprawdzenia swych nowych oddziałów?

– Król pragnie złożyć ofiarę w Tras Uthis, a także zapytać o stan świątyni, czy czegoś nie potrzebujesz. Lub kogoś.

Na dźwięk dwóch ostatnich słów Leanna zamarła. Zupełnie wytrąciły ją z równowagi. Mogła się tylko domyślać, co Muzduh ma na myśli, i napawało ją to lękiem.

– Czy możemy udać się na rozmowę w ustronne miejsce?

Uniosła na niego wzrok i przeszedł ją dreszcz.

– Nie wpuszczamy obcych w ustronne miejsca – syknęła.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, po czym rzekła przytłumionym głosem:

– Mogę wpuścić tylko ciebie, panie. Twoi podkomendni muszą tu zostać.

Oboje wstali. Muzduh poszedł posłusznie za przełożoną, a ona poprowadziła go przez wąskie drzwi na korytarze, których chyba nigdy nie oglądał żaden mężczyzna. Podążał za nią miarowym krokiem, a jej robiło się duszno. Nie wiedziała, jakie zadanie mu powierzono ani co pragnie z nią omówić.

Gdy dotarli do rozwidlenia, zawahała się. Jej i tak ciemne oczy nabrały jeszcze ciemniejszego odcienia w świetle słabo tłących się pochodni umieszczonych w uchwytych wystających ze ścian. Po krótkim namyśle skierowała się w prawo i otworzyła skrzypiące drzwi niewielkiej biblioteki. Stanowiła ona miejsce jej odpoczynku, a niejednokrotnie także pełniła funkcję gabinetu. Pośrodku stał nieduży rzeźbiony stół, a dookoła niego piętrzyły się regały z książkami i notatkami. Zatknęła pochodnię w ścianie i zdała sobie sprawę, że słyszy przyspieszone bicie własnego serca. Pożałowała, że nie jest Liserią i nie wie, co się zaraz wydarzy. Tymczasem Muzduh zatrzasnął za sobą drzwi i rozejrzał się ciekawie po wnętrzu. Nie tak sobie wyobrażał gabinet Leanny. Spodziewał się raczej stosu pergaminów i posążków modlitewnych. Znać było,

że matka to osoba oczytana i wielce światła. Tym bardziej zapra-
gnął wypełnić swoją misję skrzętnie. Kiedy gospodyni wskazała mu
dłonią krzesło, posłał jej szeroki uśmiech i powiedział:

– Nie przybyłem tu, by się rozsiadać.

Postąpił energicznie ku niej, chwycił ją w ramiona i namiętnie
pocałował. Objęła go mocno i odwzajemniła czułość. Miała mętlik
w głowie, serce waliło jak szalone.

– Tak długo na to czekałem – zdołał powiedzieć między poca-
łunkami. – Wyobrażałem sobie ciebie od pierwszego listu, pierw-
szej litery.

Jęknęła cicho, gdy rozpiął jej suknię i zatopił usta w dekolcie.

– Musimy być cicho – szepnęła, kiedy zrzucił parę książek ze
stolika i położył ją na blacie.



Miłość omijała Leannę przez całe jej długie życie, choć nieobcy
byli jej mężczyźni i to, co ich obecność niosła. Usprawiedliwiała
się sama przed sobą, że przecież nie opiekuje się żadnym jedno-
roźcem, więc nie musi zachowywać czystości. Zresztą od począt-
ku mieszkania w Mieście Młodości miała oczy szeroko otwarte
i nie omijała okazji do przyjemności. W gruncie rzeczy bowiem
uważała, że jej żywot jest cokolwiek nudny. Zarządzanie miała we
krwi i przychodziło jej łatwo, podobnie jak rozwiązywanie sporów
czy dokonywanie wyborów. Czuła się jednak samotna, a ostatnimi
czasami nawet bardzo. Flirtowanie z Muzduhem poprzez listy spra-
wiało jej radość, lecz jego wizyta zmieniała wszystko. Obudziła jej
pragnienia, które zamiast zostać zaspokojone, spotęgowały się.

Królewscy goście zostali na pięć dni, tłumacząc zwłokę w od-
jeździe słabą na podróż pogodą. Rzeczywiście, dość silnie wiało

i padało na zmianę, a kochankom było to na rękę. W ramach licznych rozmów i konsultacji Muzduh stał się gościem także jej alkowy. Ostatniego popołudnia, leżąc w ramionach elfa, wędrowała dłonią po jego torsie i starała się niczego nie analizować. Zupełnie inaczej niż Muzduh, który obmyślał, jak zrealizować swe zamiary.

– Zaskoczyłaś mnie – zaczął. – Sądziłem, że zastanę tu chłód i mur.

Uśmiechnęła się, czując, że do czegoś zmierza. Oczywiście było dla niej, że nie zacznie mówić o miłości czy wspólnych planach. Byli w kompletnie innym miejscu. Ot, spotkanie ciał i oddech na kolejne miesiące.

– Wciąż się zastanawiam, jak namówiłeś króla, by cię tu wyprawił. Wymieniliśmy chyba setkę listów, ale nie przypuszczałam, że kiedykolwiek cię spotkam.

– Ja tylko pomogłem przeznaczeniu – odparł tajemniczo. – Widzisz, król naprawdę zamierza wysłać do was strażników królewskich.

Uniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

– Czyli wkrótce znów cię ujrzę? – spytała.

– Mam nadzieję. – To powiedziawszy, pocałował ją przeciągle. – Niepokoje w królestwie są coraz większe i Mithiel pragnie was chronić. Potrzebował wysłać kogoś na zapoznanie się z możliwościami obrony w razie ataku na świątynię, a te już dokładnie zbadałem. – W kącikach ust zamajaczył mu uśmiech. – W ciągu najbliższych kilku tygodni przybędą wojownicy, dzięki którym będziecie bezpieczne.

– Wielce mnie to raduje – odparła z ulgą – bo to mnie powierzono los tych dziewcząt. Większość z nich jest młoda i niedoświadczona. Takie białe kartki ksiąg. No i jednorożce. To esencja naszej egzystencji.

– No właśnie. Czy jest szansa, że je zobaczę?

Spoważniała, rozważając odpowiedź. Nie powinna się zgadzać, lecz drgające pod skórą mięśnie elfa budziły w niej myśli, o które się nie podejrzewała. Doszła do wniosku, że zasłużył na nagrodę za to, jak bardzo ożywił jej ostatnio szare dni. Zresztą nazajutrz miał wyjechać, więc postanowiła zabrać go na łąkę po popołudniowej modlitwie. Oznajmiła mu swą decyzję, a on w odpowiedzi sprawił, że spóźnili się na modły. Widok pasących się jedno-
rozców zrekompensował im jednak tę stratę duchową.



Trzy kapłanki na czele z matką przełożoną w niezwykle pochmurny poranek czekały na dziedzicu, by pożegnać wysłanników króla. Leanna miała kamienną twarz, którą towarzyszki odczytały jako powagę przystającą jej roli. Nikt się nie domyślił, że trawił ją smutek. Ostatnie dni minęły niepostrzeżenie i doskonale wiedziała, że czekają ją kolejne ciche tygodnie, a może miesiące rozłąki z Muzduhem. Nie usiłowała określać swych uczuć do niego – dość, że stanowił odskocznię i symbolizował świat, od którego została odcięta. Całe swoje życie poświęciła bogini Artele oraz świątyni, ale nieraz się zastanawiała, czy było warto. Znała też zamężne elfki, których los wcale nie był lepszy – także kończyły samotne, rozżalone i znudzone. Pod tym względem zazdrościła ludziom. Z powodu krótkiego pobytu na tym świecie realizowali swe plany szybko, często może niechlujnie i niedokładnie, lecz na starość wiedzieli, że doświadczyli całego wachlarza przeżyć. Leanna natomiast miała wrażenie odrealnienia. Bliskość jednorozców potęgowała ten stan. Czasem się śmiała w duchu, że żyje między światami. Kilkudniowa wizyta Muzduha ściągnęła ją w stronę Wereldy, ale wdzięczna mu była za te chwile.

Z zamyślenia wyrwały ją trzask drzwi i stukot obcasów butów wojskowych na bruku. Muzduh i jego drużyna gotowali się do drogi. Ani razu nie zerknął w stronę matki przełożonej, poprawiając popręg czy wsiadając na konia. Dopiero gdy już się usadowił w siodle, przeniósł na nią wzrok. Zobaczyła w nim coś, czego nie dostrzegła podczas ich wizyty. Jakiś przeblysłk żalu, wzruszenia, uczucie, które dotąd nie miało prawa ujrzyć światła dziennego. A może tylko jej się zdawało?

– Bywajcie, matko i wy, czcigodne kapłanki – zawołał. – Wypatrujcie wojów od północy. Wdzięczniśmy wam za gościnę.

– Niechaj was bogowie prowadzą – odparła Leanna.

Muzduh zatrzymał na ułamek sekundy spojrzenie na niej, po czym obrócił wierzchowca i dał znak do wymarszu. Tak siedmiu jeźdźców opuściło Tras Uthis i udało się z powrotem ku Dolinie Domerth.



Muzduh miał przez całą drogę zły humor. Nie tak zaplanował tę wizytę, nie tak sobie ją wyobrażał. Przede wszystkim Leanna okazała się zupełnie inna od wizerunku wyłaniającego się z listów. Kiedy rok wcześniej odpisał jej w imieniu króla na wiadomość, nie przypuszczał, że ich korespondencja przerodzi się w prywatną, a potem w romans. W listach wydawała mu się nadęta i marudna, z ostrym jak brzytwa poczuciem humoru i nieprzeciętną inteligencją. Na żywo zaskoczyła go energią, spontanicznością i rozsądkiem godnym jej stanowiska. Gdyby nie okoliczności i jego własne ambicje, mógłby się w niej zakochać – i to go przeraziło. Był zezłoszczony na siebie, że o mały włos zboczyłby ze swej ścieżki. Zresztą nadal nie czuł pewności, że jego zamiary się powiodą.

Przygotowywał od dawna misterny plan i teraz był bliżej niż kiedykolwiek jego realizacji. Okoliczności sprzyjały, pojawiły się też koincydencje, które otwierały mu kolejne drzwi. Pozycja króla słabła, niepokoje w Domerth rosły w siłę. Był to idealny moment, by wykorzystać sytuację i sięgnąć po swoje cele.

Coś go jednak hamowało. Za każdym razem, gdy przymykał powieki, widział iskrzące w świetle świec oczy Leanny. Nagle stanął przed wyborem, którego się nie spodziewał. Nic więc dziwnego, że przypominał chmurę gradową. Dla swoich kompanów był surowszy i bardziej milkliwy niż zazwyczaj, a trzeciego dnia od opuszczenia Miasta Wiosny miał ochotę zawrócić konia tylko po to, by wziąć ją znów w ramiona, poczuć zapach jej skóry i usłyszeć melodię jej głosu. Wściekał się na siebie, towarzyszy, a także na pogodę, która ich nie rozpieszczała. Nie znał dotąd takiego pragnienia i zastanawiał się, co jest jego przeznaczeniem: życie w cieniu wielkiej kapłanki czy władza, o której marzył od dziecka.

Deszcz siekł niemiłosiernie w różne strony, kiedy mijali bramę Domerth. Muzduh z zaciętym obliczem wiedział już, co musi zrobić, na co się narazić, a czemu poddać.

Kamila Goszczyńska
TRYLOGIA **KWIAT DATURY:**

tom I ***Iskra***

tom II ***Płomień***

tom III ***Pożoga***



Do nabycia w księgarniach
internetowych w formie
papierowej, e-booka i audiobooka.